

The background is a complex, abstract composition of overlapping, semi-transparent geometric shapes, primarily cubes and rectangular prisms, in various shades of blue and purple. Within these shapes, there are faint, stylized images of human faces, some appearing as if they are part of the structure or looking through it. The overall effect is layered and architectural.

Wojciech Pieniążek

TO, CO ZOSTAJE

To, co zostaje



Urodziłem się w 1962 roku, czyli jestem raczej późnym debiutantem. Można zatem przyjąć, że przez pierwsze pięćdziesiąt lat życia przede wszystkim czytałem i dopiero niedawno poczułem się czytaniem na tyle znudzony, by przejść na drugą stronę i dołączyć do tych, co czytania przysparzają. Wcześniej byłem czytającym etnografem oraz, równolegle, czytającym tak zwanym nauczycielem akademickim, potem [krótko] czytającym producentem reklamówek telewizyjnych, wreszcie czytającym freelancerem, zajmującym się czymś, co z braku lepszego słowa zwane jest społecznymi badaniami użytkowymi. Wątpiącym czasem w użyteczność tychże.

Wojciech Penczeta

Wojciech Pieniążek

To, co zostaje

JanKa
2018

Copyright © Wojciech Pieniążek, 2018
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2018

Wydanie I [cyfrowe – fragment]
Pruszków 2018

ISBN 978-83-62247-59-2

*Szept biegnących strumieni, błyskawica zimą,
Dziki w zaświatach macierzanki i dziki poziomki,
Śmiech w ogrodzie i ekstaza, pomnożona echem,
Nie gubi się, lecz żąda, zmierza ku spazmowi
Śmierci i narodzenia.*

*No i cóż, powiecie,
Że się powtarzam. Powtórzę raz jeszcze.
Czy mam powtórzyć?*

Thomas Stearns Eliot, „Cztery kwartety. East Cover”

(tłum. Adam Pomorski)

POMPES FUNÈBRES

(...)

Przede wszystkim niech się pani nie dziwi, że jestem właśnie tutaj. Z Żanną, to znaczy z Beatą – wtedy była moją małą Żanną – właśnie w Paryżu się zaczęło. W hotelu Eldorado. Pani, spodziewam się, zna Cendrarsa, prozę małej Żanny? Bo uwłaczałoby mi, gdyby do mojej sprawy przydzielono jakiegoś garkotłuka prawniczego bez minimum ogólnej ogłady. Mam nadzieję, że zrozumie pani, co znaczy, gdy mówię, że Paryż był naszą transsyberyjską koleją, uwożącą nas w nieznane. I mam nadzieję, że pojmie pani, co mam na myśli, mówiąc, że nie miałem szesnastu lat i ona nie miała szesnastu lat, ale w Paryżu spotkaliśmy się jak nieznajomi w pociągu i gdyby wszystko potoczyło się inaczej, niż się potoczyło, to dzisiaj mógłbym powiedzieć przynajmniej – to z innej beczki cytatami, lecz tym bardziej oczekuję zrozumienia – że zawsze będziemy mieli Paryż. Ale na to nie ma już szansy. Od kilku dni już nie.

Żanna (czyli, przypominam, Beata) wtedy w Paryżu robiła to, co robiła, dojdziemy do tego, ja natomiast – w Warszawie – byłem, całkiem jak mały Błażejek, bardzo złym poetą. Złym poetą, do którego lgnęły wtedy pieniądze. W tamtej epoce

– sięga pani zapewne w owe dni pamięcią, najzdolniejszy nawet prawnik nie zostaje przecież prokuratorem wprost po studiach – pieniądze lgnęły przede wszystkim do byłych ubeków, byłych dyrektorów departamentów i byłych cinkciarzy, lubiły jednak przytulić się także do chłopców z dobrych rodzin, nieumiejących wprawdzie niczego przydatnego po odbytych historiach sztuki, etnologiach, polonistykach, orientalistykach i muzykologiach, ale przez swoje dobre rodziny wyposażonych w dar mówienia językami i równie przydatny dar dobrych manier, wzmocniony nieraz nazwiskiem, co dla partyjnych arywistów było ekstra atrakcją, a chłopcom – byłem takim chłopcem – przynosiło dodatkowe punkty. Arywiści od lat szykowali się do skoku na kasę i hodowali własny narybek, kształcony na amerykańskich przede wszystkim uniwersytetach, lecz narybek nazwisk nie miał, manieri też miewał raczej wymuszone i łatwo zmywalne, na przykład alkoholem, a ponadto, skoro już wyrwano zęby krat i runął mur, to choćby troska o pozory wymagała, by przy podziale łupów uwzględnić nie tylko swoich. Ścierwo martwej bestii było całkiem spore i każdy, kto wykazał się odrobiną motywacji i stanowczości, mógł bez zbytniego rozpychania się łokciami urwać sobie kawałek. Jeżeli do tego miał chwalebny, pachnący gazem łzawiącym lub skrzypiącą styropianem przeszłość, to mógł ją dyskutować. Ja, na przykład, mogłem wykazać się kilkoma plamami farby drukarskiej ku ozdobie życiorysu, więc jak inni dyskutowałem, a jakże, patrzcie, te paznokcie niedomyte, na wieki przyczernione, wolne słowo wam wydrapały. Dyskutowałem, póki zakłęcia takie były potrzebne. I zanim przestało to kogokolwiek obchodzić, wydyskutowałem sobie dostęp do mięsistego udźca medialno-reklamowego.

Nie zrobiłem wiele, by dostęp ów zapewnić sobie na dłużej, ale przez ładnych parę lat miałem w co się wgryzać. Dopóki w gęstniejącym za plecami tłumie nie pojawili się młodszy, drapieźniejsi, wiedzący, czego chcieć i jak daleko warto się posunąć. Nie wzdycham: niestety, świadom nieuchronności fatum, nie wzdycham, bo jestem, kim jestem. Co więcej, kocham siebie takiego, kocham tego uroczego brzdąca w czarodziejskim ogrodzie. Lubi wziąć, dotknąć, posmakować, popróbować, przerobić po swojemu, zagarnąć, mieć. Nie na zawsze, na chwilę, tak, by móc powiedzieć: moje, moje, tylko moje, ja. I zaraz potem odepchnąć, odrzucić, niech się inni bawią, kocham tę swoją lekkość i nieodpowiedzialność, ładnie mi z nią w lustrze. I było to – rzecz nieostatnia – usposobienie w sam raz na czasy, kiedy wszelkie sprawy dopiero zaczynały się motać, pajęczce sieci tkać, i skrzyły się te sieci od kropelek rosy porannej szans. Cóż więc miałem robić? Korzystałem. Skakałem sobie tu i tam, w różnych telewizjach, produkcjach i agencjach funkcjonowałem jako wolny elektron, wpisywano mnie nawet do jakichś rad nadzorczych, choć to ostatnie bawiło mnie najmniej. Kilka zebrań wystarczyło, by przestała mi smakować władza, nie było moim przeznaczeniem przejść z grona powołanych do grona zbawionych, na stałe się w biznesowym niebie zakotwiczyć. Rządzenie, gromadzenie, wiązanie i układanie się, zawsze z kimś albo przeciw komuś, kiedy ja lubię sam i dla siebie, tyranie żmudne dwadzieścia na dwadzieścia cztery, pilnowanie tyłów i kreślenie planów – o nie, to nie mogło służyć zdrowiu mojemu i samopoczuciu. W bajce o mrówce i pasikoniku byłbym pasikonikiem, byłem czarodziejem, który miewa pomysły, nic więcej i aż tyle, bo z tych właśnie pomysłów lęły się pieniądze. I kiedy już były,

kiedy mi się objawiły i wypadało coś z nimi zrobić, zadbać, by nie zdechły jak porzucone *tamagotchi* (takie japońskie urządzenie, na punkcie którego świat naonczas zwariował) – zawsze trafiał się ktoś, kto gotów był zająć się ich dokarmianiem, zadbać o kosztorysy i harmonogramy, kolejne wersje scenariuszy i scenopisów, mediaplany i wyniki oglądalności. Puszczając moje pomysły luzem, na los szczęścia, na wiatr, jak wariat rzucający w tłum garście banknotów, a tłum pracowitych mrówek roił się wokół, każda mróweczka łapała jeden banknot i niosła dalej na swoim grzbiecie, mrówki tańczyły tak, jak grałem im ja, Pasikonik, nie rozumiem więc, czemu miałbym chcieć zostać mrówką. Choćby i mrówką wszystkich mrówek. Uwijać się, zwijać, troszczyć, ogarniać, dźwigać bryłę świata – to nie na moją głowę, nie na mój wiotki grzbiet.

Dodam dla większej precyzji, że nie tylko pasikonikiem z bajki byłem, byłem też szczurołapem z Hameln. To mnie pozycjonowało dodatkowo. Grałem swoje melodie, a pieniądze szły za mną, szły, dokąd ja szedłem, wierne moje szczuręta. Szedłem zaś tam, gdzie pieniądzom było dobrze, w takie miejsca, gdzie mogły gzić się i mnożyć, tak naprawdę to diabli wiedzą, kto kogo prowadził. Bo pomysły moje nie były z tych, co dadzą się zaprząć do wszystkiego, na pewno nie do ciężkiego wozu fabuły czy publicystyki, lubiły swobodę, a nie lubiły się przepracowywać. Najlepiej więc było im w reklamie, mnie również, bo i ja przepracowywać się nie lubię. W reklamie tyra się ciężiej niż gdziekolwiek, ale tyranie to przysłonięte jest iluzją wieczystej imprezy, praca tu jest imprezą, a impreza pracą, taka to branża. Cały czas w melanzach. Choć ja akurat wolę starsze, obco już może w pani uszach brzmiące słówko: balanga. Więcej ma w środku. Bał, balecik, tango, a skoro

tak, to ruszamy. W tango, w Polskę idziemy, big bang. Każdy z morfemów tego słowa skrzy się od znaczeń i otwiera bramy kontekstów, za którymi są następne bramy, i takie też było wtedy moje życie. Wędrowałem z balangi na balangę, z firmy do firmy, a którą zechciałem odwiedzić, ta zgarniała profity, ja zaś dowody uznania. Owszem, te finansowe również. Ważniejszy jednak był huk oklasków, patrzcie, oto ja, mistrz tej ceremonii, MC Pasikonik, wszystkie światła na mnie. Nie ma nic bardziej narkotycznego niż taki szmer: patrz, to on, on, kto, no jak to kto – kiedy człowiek idzie po czerwonym dywanie po zasłużone honory lub choćby prowadzony jest (z honorami) przez kelnera do zamówionego stolika. Pieniądze? Pieniądze były oczywistą konsekwencją tego. Bo przecież gdzie balanga, tam zawsze znajdzie się micha oraz flaszka dla orkiestry. Było mi dobrze, coraz lepiej, nadejścia zimy w ogóle nie brałem pod uwagę w moich rachubach klimatycznych.

W połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy to wszystko się działo, zima była zjawiskiem z innej półkuli, strefy czy kontynentu. Zapomniano już raz na zawsze o prusakolepie i o kastracie z akcentem nie do podrobienia, śpiewającym, iż Gillette najlepszą jest żyletką dla mężczyzny, nastał czas nocy reklamożerców i eksplodujących budżetów, czas intertekstualnych scenariuszy, łykanych przez klientów bez drgnięcia grdyki, a ja do takich rękę miałem i fart. MC Pasikonik był niczym wulkan, popiołem pomysłów zasypywał grunt wokół siebie, użyźniał go jak Etna sycylijskie grunta, wszystko wokół niego kwitło i prosperowało. I nikt niech mi wspomnieć się nie waży, że to dla muzy sprzedajnej, dla wciśnięcia kitu, pomnożenia bytów spoconych na wyprzedażach. Bynajmniej. Mylą się sromotnie ci, którzy płacą i czują się w prawie, by

przed nosem mi wymachiwać tabelkami w Excelu, po tysiąc, po dwa tysiące wierszy, tyle ich, że gdyby wydrukować i na ziemi rozłożyć, toby tabelki te obszar zajęły, że z kosmosu zobaczysz, wszystko zaorane, wskaźnikami obsiane, formuły powyliczane precyzyjne, że jak tak, to tak, a jak owak, to siak, gdy ja oczopląsu dostaję i popadam w stupor na widok kilku zaledwie centymetrów kwadratowych cyfr na ekranie. Żądają ode mnie efektu mierzalnego, ale to nie jest taki prosty mechanizm, że tu naciśniesz, tam pociągniesz, a pajacyk skacze. Na przykład: ociec, prac? Target kojarzy „Potop” ze szkolną orką, zresztą i tak marnie pamięta lub nie zna, przez co wcale nie kojarzy. Nie jarzy bazy, nie turla pyzy, nie łapie na metapiętrze. Ale się podoba ociec. Się. Samo się. Treść jest drugorzędna, ważne, żeby grało, chwyciło, pasowało do melodii, śpiewanej – nie inaczej – chórem. Jest ociec jednym z mnóstwa pomysłów na wypełnienie pustego miejsca, które musi być wypełnione, bo jakby jego tam nie było, to trzeba by co innego w to miejsce wstawić, bo jakby nic się nie wstawiło, toby się zrobiła czarna dziura, toby się zrobiła cisza, która następuje zaraz po pytaniu: po cholere to wszystko? Płacący płacą – wiemy już, bezwiednie – za to, żeby nie padło to pytanie. Przedstawienie musi trwać i bawić gawiedź, musi być śmiesznie i z przytupem, bo inaczej krach, apokalipsa, kryzys. Bo przecież oni, ci, którzy myślą, że coś produkują i sprzedają, tak naprawdę z naszą, sztukmistrzów tej sztuki, nieodzowną pomocą obsługują powszechną nerwicę natręctw. I dlatego płynie ociec z siłą wodospadu, a obok w tym samym nurcie dwa proszki, cudowny proszek oraz zwykły proszek, wszyscy oczywiście wiemy, do czego się nadaje proszek zwykły. Płyną, oćcu podobne, inne trudno rozpoznawalne kawałki

paradygmatycznych tekstów, z pierwotnego sensu odsączone, przemieszane z podpaskami nieprzemakającymi i kapsułkami na ból wszelki, niedrażniającymi, rozpuszczalnymi w jelicie, u zarania zaś tej rzeki my się uwijamy, krasnoludki drążące kręte korytarze w niezgłębionej i niewyczerpanej kopalni znaczeń, która za sprawą krzątania naszej okazuje się kopalnią gówna co prawda, ale to dzięki nam, wyłącznie dzięki nam źródło wciąż bije, gówno jest wydobywane na powietrze i może być nawozem. Ja, nie najmniej ważny pośród krasnoludków, w tamtej czarownej erze wiecznego lata specjalizowałem się w dokarmianiu nerwicy (powszedniej i powszechnej) odpadkami wszechstronnej mojej (choć, zgodzę się, powierzchownej) erudycji. Byłem chłopcem czytany i wreszcie mogłem coś z tego mieć. Zostałem więc aluzyjnym iluzjonistą, żonglerem wątków, treserem mitologicznej menażerii, stylistą celebrytów literatury, z kolorowego śmiecia w mojej głowie mogłem, gawędziarz i *bricoleur*, ulepić dowolny kształt, znacie, to posłuchajcie. Wyhodowałem też i wypuściłem na arenę, między innymi, Wokulskiego. A dzięki Wokulskiemu poznałem Beatę.

(...)

Kłamałem, pisząc, że marzył mi się samotny wieczór. Samotne, medytacyjne wieczory we wnętrzu to nie ja, to nie dla mnie. Przypomina się Depardieu z jakiegoś filmu: *weekend sans gonzesse? C'est perverse*. Podobne trzeba leczyć podobnym, tylko w mniejszych dawkach, a poza tym nie lubię, jak jest za pusto i za cicho wokół mnie. Wtedy zaczynam słyszeć swoje serce, moje zamknięte w żelaznej puszce serce daje o sobie znać, dobija się do mojej głowy, puk puk, łup łup wali

pięścią od dołu, przypomina o swoim istnieniu. Albo nieistnieniu. Bo gdy słyszysz się serce stamtąd, z dołu, to natychmiast objawia się nam ten moment, gdy będziemy się w dół wsłuchiwać i niczego nie usłyszymy. Żadnego puk puk, tym bardziej łup łup. Cicho będzie. Pusto. I dlatego serce musi być zagłuszone, trzeba zrobić wszystko, żeby nie było słychać tego uporczywego apelu. Wiem, przepraszam, miało być o kartach, nie o sercu, to znaczy o sercu też, generalnie, lecz akcydenalnie o kartach, przydałaby się pani tutaj, moja królowo kier w środki przymusu wyposażona, nie gubiłbym się tak w nawiasach i dygresjach. Ale już do kart powracam, proszę się nie denerwować. Jesteśmy też coraz bliżej Beaty, gdyż ja w karty tak jakby ją wygrałem. A raczej wywróżyłem sobie, gdyż było tych kart dwadzieścia dwie, policzyłem, całkiem jak talia tarota. I właśnie w hotelu Eldorado te karty znalazłem. Dwadzieścia dwie ulotki sławiące urodę, temperament i pomysłowość paryskich dostarczycielek kontrolowanych wzruszeń, pewnie było nie bez znaczenia też, że hotel ów nieopodal Pigalle był zlokalizowany. Nazbierało się tych ulotek jak w skrzynce na listy po dłuższej nieobecności, ktoś codziennie na zasłanym łóżku kładł mi z nadzieją nową porcję, dwadzieścia dwa numery telefonów i dwadzieścia dwa wizerunki pań, które za odpowiednią opłatą zrobią wszystko, prawie wszystko, albo tylko jedno, za to perfekcyjnie. Na przykład ubiczują, skopiują i zwyzywają od ostatnich. Może właśnie to? Po raz pierwszy rozumiałem korporacyjnych górali z ostatnich pięter, którzy sobie ten numer fundują. Ale nie. To nie był jeszcze właściwy czas, nawet dzisiaj przed czymś takim się wzdragam. Tłumaczę sobie, że odstręcza mnie groteskowość i teatralność tej zabawy, brak prawdziwego ryzyka, lecz po namyśle muszę wyznać, że

ryzyko nie ma tu nic do rzeczy. Tu chodzi o to, by strach imaginacyjny, który się bierze z przebywania na wysokościach, zastąpić konkretnym, choćby i w takiej formie, może nawet ten przerost formy nad treścią ma być lekarstwem na pierwszy, bezforemny. Dlatego kiedyś pewnie by nie zaszkodziło, gdyby ktoś mi solidnie przyłał i postawił do pionu, dzisiaj jednak muszę sam. Ja już to szczytowanie w strachu i zachwycie nad sobą mam za sobą, sam nad sobą muszę się teraz znęcać, choć stać mnie, by z tych sześciu tysięcy euro wydzielić jakiś fundusz rozrywkowy. Wtedy tym bardziej było mnie stać, biegałem w majątkowej ekstraklasie ubogiego kraju na dorobku, no, powiedzmy, że w pierwszej lidze, więc mogłem sobie pozwolić na towar może nie z najwyższej półki, ale ten ze średniowysokiej tak. Tej, gdzie najniższą jednostką rozliczeniową nie jest już godzina, lecz *soirée*. I *soirée*, z dostawą do domu, postanowiłem sobie zamówić.

Na malinowej kapie, okrywającej moje nienaruszone dotąd legowisko, ułożyłem w trzech rzędach wszystkie karty, w pierwszym osiem najbardziej obiecujących, następnie osiem takich, które też były niczego sobie, ale wietrzyłem w nich jakiś feler, w ostatnim reszta, złożona z panien od pierwszego rzutu oka zasługujących na degradację. Usługodawczynie na ulotkach hojnie prezentowały swoją ofertę, a sugerowały jeszcze więcej; tak, by nie było wątpliwości, że gdy na wyprzedazy o poranku świata rzucili cielesną doskonałość, to one stały w pierwszym rzędzie u wrót galerii handlowej, przyciśnięte do szyby przez tłum za plecami. Choć trzeba przyznać, że ta doskonałość, bezwstydnie doskonała od szyi w dół, wyżej kryła się za włosami albo za kawałkiem muślinu, albo wręcz za czarnym kryminalnym paskiem na linii oczu. I nie był to

powiew obyczaju z pobliskiej Północnej Afryki, bynajmniej. Na pewno widziała już pani takie nietwarzowe fotografie u nas, też kładzione dyskretnie przy hotelowych łóżkach, wtykane nachalnie za wycieraczki samochodów, a ostatnio dostępne przede wszystkim na odpowiednich portalach w sieci, więc nie muszę tłumaczyć, że te pracujące dziewczyny twarz kryły, bo czasem jeszcze coś studiowały w wolnych chwilach lub biegały na castingi, wiedziały też, że to nie jest zawód na lata, że warto kiedyś osiąść na grzędzie obok niczego niepodjejrzejającego męża i dumnie popatrywać z góry na gromadkę kurcząt na podwórzu. Pomieszkowały też pewnie w nie najgorszych dzielnicach, w nie najgorszych kamienicach, a nie wiadomo, co w czyje ręce trafi. Paryż Paryżem, lecz mogłoby się zdarzyć, że konsjerżka splunie za plecami, że ktoś czymś brzydkim klamkę pomaze, właściciel poprosi o przeprowadzkę, bo mu ceny wynajmu spadają. Jeśli zaś decorum zostanie zachowane, to ani konsjerżka pluć nie będzie, ani małżonki *maitre'a* Takiego, *présidenta* Siakiego, *colonela* Owakiego nie zaprotestują przeciw siejącemu zepsucie sąsiedztwu. Dzięki temu zabiegowi mogły sobie dziewczyny mieszkać, gdzie chciały i co chciały robić w wolnym czasie, a z kart tarota hotelowego wabić wymiarem 90-60-90, piersią naturalną w kształcie jabłka lub gruszki, czasem też silikonowym wytworem chirurgicznej pracowni, nogami po szyję i wyżej, ustami rozchylonymi o białych zębach, spomiędzy których wysuwał się różowy języczek (nieznacznie, lecz jednoznacznie), lub jeszcze bardziej jednoznacznie wskazując paluszkami na inne, jeszcze bardziej ponętne różowości. I kogóż tam miałem na kolorowych fotografiach? Lolitę w uczniowskim mundurku, a ta, gdyby nie czarny pasek, patrzyłaby pewnie

na mnie oczami, które mają co najmniej sto dwadzieścia lat. Kobiętę kota, kobietę pająka, kobietę węża boa, nie z tych wszakże, które połknęły słonia, choć wiadomo, że i na takie są amatorzy, w ofercie była również, a jakże, *Vanessa expensive*, nikt przecież w tym interesie nie robi za darmo. Była Seniora Sforza ze szpicrutą, w lateksach i na bardzo wysokim stalowym obcasie, była *La Belle Sorcière* i *La Belle Secrétaire*, *Ta* (to znaczy, potencjalnie, *Ma*) *Esclave*. *La Marquise de Merteuil* (no właśnie, proszę, chciałem być przecież jak *John Malkovich*). *Black Mamba* (rzeczywiście czarna). Jakaś po prostu *Miranda*, jakaś po prostu *Mireille*, wreszcie *Princesse Russe* w szubie ze sztucznych soboli, a także bez szuby, za to w diademie i diamentach, też zapewne sztucznych. I kiedy rząd pierwszy zredukował się do trzech kart, drugi do sześciu, a trzeci rozrósł do kilkunastu, to na sam szczyt piramidy powędrowała właśnie ona. *Princesse Russe* zdała mi się czemuś adekwatna.

Czemu? Może pokierowała mną ręka jakaś pomocna, wskazała mi Głupca tej talii, tę, która jest każdą i zarazem jedyłą? A może zatęskniłem za klimatem bliskim ojczystemu? Czy ja naprawdę muszę odpowiadać na wszystkie pytania?

Niechże się już stanie to, ku czemu zmierzam od początku, sięgnąłem po telefon.

Zadzwoń.

Zamów.

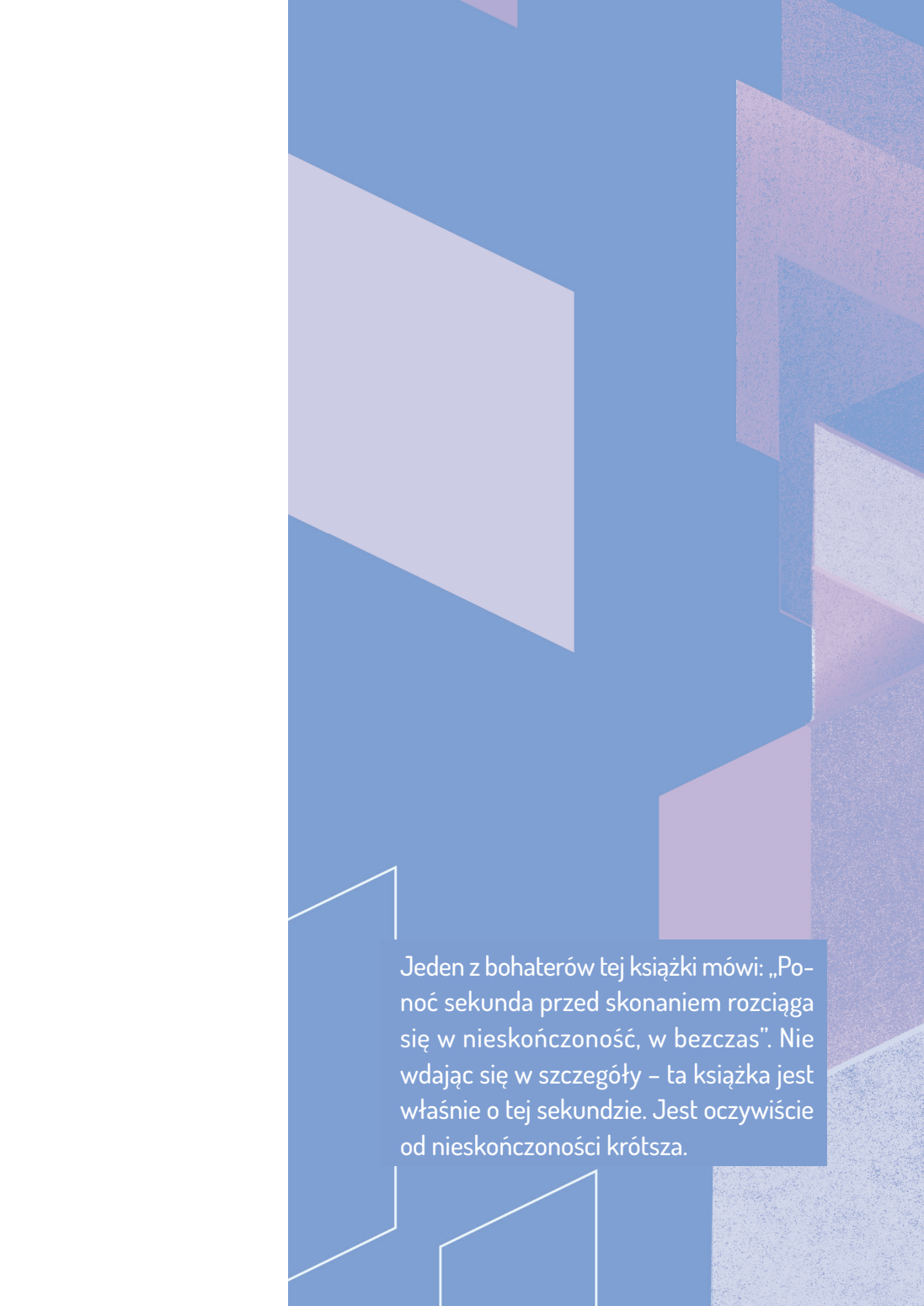
I co?

To, co zwykle bywa skutkiem zamówienia, przynajmniej w rozwiniętych gospodarkach rynkowych. Usłyszałem – o umówionej godzinie – podniecające stuk stuk obcasów na korytarzu, potem ciche puk puk do drzwi, *entrez!* Do pokoju

w hotelu Eldorado weszła, weszło, no właśnie, kto, co? Princesse Russe? Przeznaczenie? Myślę, że to już chyba jasne, przecież ja tu od wczoraj nie buduję żadnego suspensu, chyba od razu dałem do zrozumienia, co będzie. Nie dałem? No to proszę pozostać jeszcze chwilę w niepewności. Przyjmijmy prowizorycznie, że do pokoju weszło ciało bez głowy.

Porucznik Golicyn 8

Pompes funèbres 84



Jeden z bohaterów tej książki mówi: „Ponoć sekunda przed skonaniem rozciąga się w nieskończoność, w bezczas”. Nie wdając się w szczegóły – ta książka jest właśnie o tej sekundzie. Jest oczywiście od nieskończoności krótsza.

Okładka:
Anna Koźbiel-Walas

Zdjęcie z archiwum autora

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-59-2
[wydanie cyfrowe – fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Czy Tristan może się objawić pod postacią sowieckiego porucznika z karnej kompanii? Czy napojem miłosnym może okazać się flaszka samogonu, rozpiąta do spótki z patrolem, który zatrzyma parę kochanków, spacerujących nocą, gdy w mieście obowiązuje godzina policyjna? Czy Don Juan może być zarazem Orfeuszem? Kim będzie, gdy nie doczeka się Komandora? Autor z alchemiczną dezynwolturą i poetycką inwencją miesza w materii mitu i literatury, opowiada coś, co po wielokroć już zostało opowiedziane, ale robi to na swój – wyjątkowy – sposób. Te dwie historie zostały, co więcej, spisane frazą o muzycznej precyzji; to każe szukać dla nich analogii pośród muzycznych gatunków. I wtedy, najprędzej, byłyby to suita. Suita w dwóch tańcach, gdzie pierwszy jest statyczną, ale przesyconą erotyzmem sarabandą, a drugi zdyszana, gubiącą rytm w językowych i erudycyjnych grach gigą. Choć tak naprawdę to jeden taniec: miłości i jej kłęski. Miłości zderzonej z absurdem historii i urojeniami męskiego ego.

Anna Piwkowska

Patroni medialni



Cena: 30 zł

ISBN 978-83-62247-59-2



9 788362 247592 >